

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 3 czerwca 1916 roku.

Nr 23.

ST. DZIKOWSKI.

Na froncie wołyńskim.

Atak nasz poprzedziło przygotowanie artyleryjskie. Dziewięćdziesiąt sześć armat austriackich i niemieckich grało skoncentrowanym ogniem w naszym odcinku. Potężny pojedynkę dział przygniał wszystko swoją żywiołową siłą. Artyleria nasza atak przygotowywała, rosyjska pragnęła zdusić go w zarodku. Powietrze pełne było metalicznego brzmienia mknących pocisków, które krzyżowały się po środku przestrzeni, obejmującej zaledwie kilkaset kroków. Wybuchy następowały tak blisko, że nie można było odróżnić ich przynależności. Bliżko nas padały odłamki granatów własnej artylerii. Niektóre pociski nadlatywały z tak znacznej odległości, że nie było słychać huków wyrzucającej je armaty. Tylko przeraźliwy wizgot, który wylaniał się tajemniczo z dalekiej przestrzeni, zdradzał ich lot.

Wreszcie nastąpiła chwila ciszy i ozwał się gwałtownie szybki grzechot karabinów. Przy tym akompaniamencie dwa bataliony drugiego pułku ruszyły do ataku. Pierwszy ten atak wykazał starą wartość naszego żołnierza w nowych, odmiennych warunkach. Ogień ciężkich dział nieprzyjacielskich nie osłabił jego inicjatywy ani zuchwałej odwagi.

Tego samego dnia wieczorem, mimo gwałtownego ognia, posunęliśmy się o kilkaset kroków naprzód i tutaj zaczęliśmy się okopywać. Skoro jednak ani prawe, ani lewe skrzydło działania naszego nie poparło, oba bataliony drugiego pułku, które znajdowały się już na drodze, wiodącej do P., cofnęły się na rozkaz pułkownika J. aż do dawnych stanowisk. Z zeznań jeńców rosyjskich dowiedzieliśmy się potem, że rosy-

nie, przewidując nasz atak, zgromadziły w lesie potężne rezerwy, które miały nas odeprzeć i kontratakem wyrzucić z zajętych dnia poprzedniego pozycji.

Podczas tego pierwszego ataku ciężka artyleria rosyjska ostrzeliwała niezmordowanie nasze pozycje rezerwowe, gdzie nie było nikogo prócz ordynansów oficerskich i kilku sanitariuszy. Z tych ostatnich zginął wówczas Bogdan Konturek, zasypany ziemią od wybuchającego granatu.

Popołudniu zostali ranni: Kapitan Dziekanowski Karol i porucznik Stefan Wyspiański.

Nastało kilka dni względnego spokoju. Korzystając z tego, pracowaliśmy niezmordowanie nasi telefonicy i pionierzy. Pierwszy naprawiał i ustawicznie psująca się linię telefoniczną i przeprowadzali nowe połączenia — nieraz pod gradem kul. Podczas takiej właśnie pracy ranny został ciężko telefonista Grochal, żołnierz znany z nieustraszonej odwagi. W tym czasie zginął też chorąży Hr. Tysskiewicz Leopold, oficer dzielny i powszechnie lubiany towarzysz. Pionierzy budowali rów dobiegowy do wsi Bielgowa. Ten rów dobiegowy był największą, najpilniejszą naszą potrzebą. Pozycje nasze nie miały żadnego dostępu. Kto się usiłował do nich zbliżyć lub je opuścić, ten musiał pomykać, tak jak pomyka zając w kotle przed myśliwym. Żołnierze rosyjscy mogli mierzyć spokojnie, ukryci w lesie, jak na stanowiskach. Żywiliśmy się zimnymi zapasowymi konserwami, nie mieliśmy papierosów ani chleba. Na szczęście, rów dobiegowy został szybko wykopany. Nasze kuchnie mogły raz na dobę późnym wieczorem podjeżdżać

do jego wylotu, gdzie już czekali żołnierze, pełni gorącej strawy. W dzień droga prowadząca z L. do B. była tak gwałtownie ostrzeliwana przez artylerię rosyjską, że tylko pojedynczy jeźdźcy lub piechurzy mogli się po niej przemykać. Nawet w nocy nasze kuchnie polowe musiały przebywać błotnistą drogą, gasząc paleniska i wystrzegając się każdego głośniejszego zakłócenia ciszy.

Artyleria rosyjska bombardowała także B. i H. Nasza kancelarya pułkowa i miejsce opatrunkowe były nieraz poważnie zagrożone.

Tak nadeszła noc siódmego listopada.

Siódmego listopada.

Tej nocy o godzinie czwartej nad ranem pułk nasz nie z własnej woli zaatakowany został przez przeważające siły rosyjskie od tyłu. Piąty i szósty pułk strzelców rosyjskich, oraz część czternastego przeszły bez wystrzału linię bojową na prawem skrzydle i nie zdradzając się niczem, podeszły do naszych pozycji z przeciwnej strony. Nikt nie podobnego obrotu rzeczy nie spodziewał i spodziewać się nie mógł. Wszystkie nasze ubezpieczenia; patrole, podruchy i placówki, wysłane zostały, jak zwykle, naprzód, w kierunku nieprzyjaciela. Dwie kompanie jako rezerwa nocowały we wsi B. Pierwszy batalion, który dotychczas znajdował się w odległości kilkuset kroków za naszymi pozycjami, został niedawno przeniesiony w odległy odcinek. Wszystko jakby się na nas sprzysięgło. Ciemne masy żołnierzy rosyjskich ukazały się nagle z tyłu pod samymi okopami i dopiero wtedy z okrzykiem „hurra“ wpadły do środka. Ten okrzyk niespodziewany jak grom rozdarł ciszę nocną i porwał prawie wszystkich na nogi. Ale było już za późno. O jakiejś zorganizowanej obronie i walce nie mogło być mowy. Każdy był zostawiony na grę szczęścia i przy-

padku, każdy własnemu oddany instynktowi. Różny był też los zaskoczonych zniacaka żołnierzy i oficerów. Jedni, napadnięci we śnie, zanim oprzytomnieli, byli już otoczeni, odbarci i obrabowani. Nie mogli nawet zginąć w nierównej walce, choć wszyscy tego gorąco pragnęli. Drużdy z bronią w rękę torowali sobie drogę wśród zwartej masy wroga i najczęściej przebili bagnetem marli na miejscu. Inni rozpierchli się na wszystkie strony, szukając ocalenia w ucieczce. Żołnierze rosyjscy byli już wszędzie, szukając jeńca i zdobyczy. Niektórzy z nich z uśmiechem dobrotliwym i zadowolonym wołali tonem pojednawczym:

— Nu zdawaj-sa brat, niczewo nie padiełajesz!

Cofano się przeważnie na oba skrzydła. Największa ilość żołnierzy biegła w stronę okopów drugiej brygady niemieckiej, która, usłyszawszy wystrzały i zmieszany jazgot głosów, stanęła gotowa do walki. Cofający się legionieści ujrzeli spokojne, nieruchome postacie żołnierzy niemieckich, którzy czekali hasła. Ale tuż za naszymi biegły, jak gromady ogarów, kupy żołdactwa rosyjskiego, upojonego powodzeniem.

Niemcy, nie mogąc otworzyć ognia karabinowego, chwycili za granaty ręczne. Przerzucali je ponad głowami legionistów w szeregi rosyjskie, które zmieszane zatrzymały się i zawróciły wreszcie tam, gdzie się im już udało przerwać nasza linie.

Część trzeciego i drugiego batalionu była uratowana, nie mogła jednak wziąć na razie udziału w dalszych wypadkach tej nocy.

Tymczasem inni biegli rowem dobiegowym w stronę B., często pomieszani z żołnierzami rosyjskimi, którzy nie mogli odróżnić w ciemnościach, kogo mają obok siebie. Był tu i pułkownik J. Przed chwilą jeszcze kilku żołnierzy rosyjskich trzymało go w mocnym uścisku, usiłując zabrać do niewoli — ale pułkownik J. jednego ustrzelił z mauzera, drugich odepchnął i wy dostał się na drogę, prowadzącą do wsi. Tam garść żołnierzy i oficerów, którzy się przy nim skupili, pomnożył o dwie słabe, rezerwowe kompanie i oddział pionierów. Na czele tych sił niewielkich, ale zwartych i niezdemoralizowanych pułkownik J. nie namyślając się ani chwili, razem z kapitanem L. wykonał pierwszy kontratak. Został odparty i zaatakował znowu. Odrzucony po raz wtóry, cofnął się aż do H., skąd wzmocniony trzynastym szwadronem huzarów węgierskich uderzył trzeci raz. Było coś rozpaczliwego w furii tego ostatniego kontrataku. Przeważające siły rosyjskie nie mogły powstrzymać natarcia. Żołnierze uderzali w ścieśnioną, płacąc krwawo za chytry podstęp. Wreszcie nieprzyjaciel cofnął się w podłochu, zostawiając w

naszych rękach liczne jeńca. Utracone pozycje zostały wydarte tym, którzy je już za swoją uważali; własność. Pułkownik J., który z goryczą w sercu patrzył na rozproszenie swoich starych, wypróbowanych żołnierzy, uniósł z tej mocy, pełnej ciężkich doświadczeń, niesplamiony honor polskiego żołnierza. Dowiedział, że nieprzyjaciel, który uzyskał po-

czątkowo tak niesłychaną nad nami przewagę, nie mógł sprostać w otwartym boju garści zdecydowanych na wszystko żołnierzy. Gdyby w tej chwili przynajmniej pierwszy batalion naszego pułku znajdował się pod ręką, losy tej mocy mogły jeszcze przybrać nieoczekiwany obrót.

Dokończenie nastąpi.

Gustaw Daniłowski.

POWIEŚĆ.

LILI.

7

Gdy Stef do niej zajrzał, zobaczył, że siedzi na kanapce zgryziona i smutna.

— Co ci jest?

— Tak, nie, Stef, wydaje mi się tylko, że jestem bardzo brzydka, nie dobrego i nie wiem, dlaczego, a nawet mnie to martwi, za co wy mnie kochacie?

— Lili, niebardzo się domyślam, o czym mówisz; wiem tylko, że dusza jest pomieszana z ciałem, jak piasek ze złotem; to się nie da rozdzielić, to tak być musi; uczucie zawsze poszukuje realizacji nawet we wzruszeniach pozbawionych pozornie wszelkiego cielesnego pierwiastku, w uczuciu choćby przyjaźni; pragniemy uścisku dłoni przyjaciela, w którym oddajemy mu cząstkę siebie.

— No tak, zapewne — zamyśliła się Lili — to jest dla mnie wogóle trudną sprawą — dodała — i źle się czuję, ilekroć się nad nią zastanawiam. Człowiek się nieraz buntuje przeciw swojej naturze, ale natura zwycięża... No, ale, Stef, skoro nie piszesz, to połóż się, staraj się zasnąć, zabijający tryb życia prowadzisz. Odchuchałam cię, odpasłam i widzę, że cała praca moja idzie na marne. Wiem, że to, co robisz, są to rzeczy drobne wobec tego, co ty tworzysz, ale wierzę mi, że ta dreptanina, zwłaszcza gdy jest bezowocna, nuży.

— Co ja mogę poradzić, kiedy nie potrafię systematycznie — odrzekł Świda, a widząc jej twarz, jakby zagasała, pocałował ją w czoło i rzekł — Dobranoc!

— Dobranoc — odparła Lili i zamknęła oczy. Długo jednak zasnąć nie mogła. Myślała o Brunonie; co robi? Pracuje i hula!

I tak było istotnie.

Ekspansywna, czynna natura Brunona pie miała lubować się w cierpieniu, którego cierń starała się usunąć jaknajprędzej. Zamiast rozdrapywać i sondować ranę, Brunon rzucał się w wir pracy, zagłuszał ból rozrywką, zalewał winem, byle czem tamował.

To też w nieobecności Lili pracował ze zdwojoną energią, wieczory zaś spędzał w gronie przyjaciół,

w teatrach, w „Varietés“, a potem w jakiejś eleganckiej knajpie, gdzie pił „nasze kawalerskie“, lub dla odmiany wymykał się do gabinetu, by poswawolić z jakąś wesołą dziewczyną.

Wróciwszy do domu, brat przysznic i wszystko zeń jakby spływało z wodą. Nazajutrz wstawał z jasną, trzeźwą głową, rzeźki i gotów do zabawy i pracy.

Lili wiedziała o tem i bywała jej nawet z tego powodu trochę markotno, choć czuła, że nie ma prawa gniewać się, zwłaszcza, że gdy byli razem, Brunon nie rozumiał bez niej rozrywki, spowiadany zaś przez nią z grzechów, objawiał skruchę, ale nie obiecywał poprawy.

— Lili! — mówił — w samym zamartwieniu skwaśniałbym na ocet, a przecież lepsze jest to pienne wino, które musuje we mnie, kiedy cię mam przy sobie.

I stawała przed nią, jak żywa, jego zamaszysta, tryskająca humorem i werwą życia postać, z wesoło roziskrzonymi oczyma, drgało jakby tęsknotą ku słońcu zawleczone zmierzchem serce.

Natarczywość, z jaką coraz częściej napadały ją o Brunonie wspomnienia, zaczęła czynić wrażenie coraz wyraźniejszych sygnałów zrywających nić do odlotu.

Czuła, że musi to uczynić, i zaczęła ją dręczyć jedynie myśl, jak całą rzecz zaaranżować, by rozstać się stało się jaknajmniej dla niej i Stefana bolesnem, jak się powoli rozseparować i tak pokierować sercami, by się niejako same przez się rozdały i łatwiej poszły w kierunku rozłąki...

Poczęła zlekka napomykać o tem, ale Stefan, oszołomiony powieścią, zdawał się jej półsłówkę nie rozumieć; obawiała mu się powiedzieć o tem otwarcie, by uniknąć przykrych scen, któreby ich oboję kosztowały bardzo wiele.

Unikała jego pieszczoł, czując, że nie może mu oddawać pocałunków z dawnym wylaniem, ale on tej zmiany w jej nastroju nie spostrzegł, co jej sprawiło olbrzymią

przykrość. Miała wrażenie, że spadła dłoń do poziomu istoty, z której się tylko czerpie, nie troszcząc się o to, co jej się wzamian daje.

Tembardziej ją to boleło, że Stefan dawniej w szczerych swych zwierzeniach wyznawał, iż w stosunku miłości; najwyższą rozkoszą jest poczucie, że ukochana istota za naszą sprawą doznaje słodkich upojeń.

Przeraziła ją ta nagła zmiana; nie orientowała się bowiem, że unoszona szalem twórczości dusza poety dochodziła chwilami do tak wysokiego stopnia zachłanności wewnętrznej, iż zatracala poczucie istnienia czegoś ściśle określonego poza sobą, że Lili chwilami stawała się dłoń jakby tylko ogólnym wcieleniem kobiecości, zawrotną, pociągającą otchłanią płci odmiennej, w której gorejąc, tracił zmysły i tonął.

Skutkiem tych nieporozumień Lili płakała po nocach, dni stawały się jej pępne, a nadejścia wieczoru przejmowały trwogą.

Czuła, że jeżeli tak dalej trwać będzie, przestanie go kochać i wówczas budził się w niej straszny żal utraty tych matczyńskich, rozlewnych wzruszeń, których doznawała w troskaniu się o niego, tej denerwującej, delikatnej pieczyoty, którą umiał sięgać do najsztubtelniejszych zakątków jej uczucia.

— Muszę wyjechać — postanowiła i zdecydowała to uczynić w sposób nagły, niespodziany.

Przekonała się, że rozluźnić nie powoli się nie da, że najłatwiej będzie załatwić sprawę krótkim szarpnięciem.

Po powzięciu tego zamiaru zrobiło jej się lżej na duszy, wróciły serdeczne uczucia i wstąpiła w nią jakaś letnia pogoda.

To jej rozstaniecznienie odczuł Stefan i jakby się ocknął, odnajdując nanowó przyjemność w zwykłym obcowaniu, w rozmowie o rzeczach potocznych, w spacerach, a nawet w załatwianiu sprawunków, w tem długim wystawianiu po sklepach, przymierzaniu i targowaniu się nieraz po to, by nic nie kupić.

— Wiesz, że nie chciałem być subjektem w sklepie z konfekcją damską — żartował — to są prawdziwe wzory ciepłości, znakomity materiał na mężów kobiet kapryśnych!

— A dlaczego lubicie, byśmy były ładnie ubrane i do twarzy? Nie myśl, że to tak łatwe zadanie!

— Co do mnie, to często nie umiałbym powiedzieć, co kto miał na sobie; wystarcza mi ogólne wrażenie.

— Właśnie o to ogólne wrażenie chodzi. To jest, mój drogi, syn-teza szczegółów.

— Co za słowo, bagatela! Jest to niewątpliwie przyjemna synteza, a bodaj czy nie silniejsza sensację sprawia, gdy ładnie zbudowana „istota wietrzna“ pozbywa się syntezy!

— Zawsze głupstwa w głowie i to w takiej głowie! — musnęła go po policzkach końcem rękawiczki, i wstąpiła do nowego sklepu, gdzie kupiła parę flakonów perfum.

— Cóż aż tyle!

— Bo tu taniej.

Stefan drgnął i poraz pierwszy mignęła mu w głowie myśl, że może odjechać.

Spojrzał na nią z ukosa, ale twarz jej była jasna i spokojna.

Nazajutrz, gdy Stefan się zbudził, nie zastał już Lili, a gdy wszedł do jej pokoju, stanął, jak wryty; pod ścianą stała szczelnie spakowana walizka, obok leżał związany paskami pled, na którym sypiała, był zasłany nie pościela, ale kilimem.

— Wyjeżdża — szepnął Świda i siadł, poczuwszy nagle niezwykle osłabienie, i zwiesił, jak martwy, głowę.

W tej chwili szczęknął klucz w zamku i wbiegła Lili w podróżnej sukience.

— Stef — zaczęła z miejsca mówić szybko i urywanie — u tej wdowy z przeciwka, bardzo sympatyczna osoba, inteligentna, wielbielka twego talentu, rano mleko, co zechcesz, obiady — wszystko bez względu na godzinę, służąca ci posprząta, wychodząc, zadzwonisz dwa razy i powiesz na gwoździu klucz. Garderoba i praniem też się zajmie, będzie mi przysyłała, że się tak wyrażę, „biuletyny“ o tobie, bo w twych listach o tych praktycznych sprawach, oczywiście, nie nie znajduję.

Przycisnęła wieko walizki; szło jej opornie, ale Stefan nie śpieszył z pomocą, wreszcie zamknęła, przekreśliła kluczyk i wstała widocznie zmęczona. Spojrzała na zegarek.

— Jezus Marya, toż ledwo zdążę!

— Jedziesz Lili?

— Jadę. Muszę Stef, muszę...

— Zostań!

— Nie, muszę, telegrafowałam.

— Jesteś okrutna.

— Stef, gdybyś widział jego twarz, twarz surową i tak zmienioną, to byś mnie sam wyprawił. Ja

przecież wrócę. Stef, ja wrócę przepelniona tęsknotą miłości, którą na twej piersi wyleję — niedobrzeby nam było już dłużej, ja to wiem, ja czuję; oddałam ci wszystko, co mogłam, a może nawet więcej, wyczerpało się twoje źródło we mnie do ostatniej kropelki; i trzeba czasu, by nabrało.

No, nie trzeba robić takiej pęśnej miny, mnie też nie lekko to przychodzi — przysiadła się, przybliżyła skroni do skroni i poczęła mu gładzić włosy.

Wstała i rzekła:

— Ani chwili dłużej nie mogę, bo się spóźnię. Bierz kapelusz i odprawdź.

Zbiegła z piętra i zawołała stróża po rzeczy.

Na dworcu załatwiła wszystko sama i tuż przed odejściem pociągu znalazła się w wagonie.

Znikła na chwilę w przedziale i ukazała się w oknie.

— Proszę nie patrzeć tak smutnymi oczyma z trochę stropioną minką, podać mi obie ręce, ot, tak — wychyliła się, ujęła jego dłonie — proszę pisać, lubię te śliczne listy, szanować się, bym zastała w dobrym zdrowiu, gdy wrócę, i... nie gniewać się!

— Ja się nie gniewam — odparł Świda ścisniętem gardłem i spuścił oczy.

Gdy znowu spojrzał na nią, była cała we łzach.

— Nie płacz, Lili. — szepnął.

— To nie — ścisnęła coraz mocniej jego ręce i puściła dopiero, gdy wagon drgnął, wychyliła się i dawała znaki, póki nie zniknęła z oczu.

Stefan śledził do ostatniej chwili oddalający się pociąg, potem jeszcze patrzył na lśniące szyny, zawrócił i zwolna dowlókł się do domu. Siadł przy biurku i począł machinalnie przeglądać swój rękopis ze smutną myślą, że Lili niema.

— Niema Lili! — westchnął, spojrzał na wykaligrafowany jej ręką tytuł powieści „Salome“ i poczuł się nagle jakby mniej samotny.

Dalszy ciąg nastąpi.

TEODOR JESKE-CHOIŃSKI.

Katarzyna Sforza-Riario.

Kobieta-władca.

3

Dziwił się nazajutrz Rzym niezwykdemu widowisku. Ulicami miasta pędził galopem hufiec konnych muszkietierów. A na czele tej bandy siedziała na wspaniałym ogierze młoda kobieta, ubrana w długą, atlasową suknię, spiętą męskim pasem. Z tego pasa zwieszał się miecz i duża torba, nabita dukatami.

Katarzyna Sforza-Riario leciała na podbój Watykanu...

Bramy zamku Św. Anioła otworzyły się przed nią bez oporu. Straż papieska, przywykła do Riario, nie domyślając się celu nagłych odwiedzin żony jeszcze wczoraj potężnego nepota, nie stawiała żadnych przeszkód.

Korzystając z powolności straży, zawładnęła Katarzyna twierdzą błyskawicznie. Wicekasztelana Św. Anioła, któremu nie ufała, obezwładniła, główne posterunki obsadziła swoimi ludźmi, zabarykadowała bramy, stropionym żołnierzom papieskim zamknęła gęby garścią dukatów.

Tak się w twierdzy zagospodarowała, sprowadziła męża do Rzymu i oświadczyła Św. Kolegium, iż nie ruszy się z zajętego miejsca przed dokonaniem wyborów nowego papieża. Jej uchwałstwo równało się groźbie; przybyłam, aby czuwać nad konklawem i zmusić kardynałów ogniem i mieczem do wyboru takiego papieża, jakiego moje plany potrzebują...

Struchleli purpuraci. Nie mieli pod ręką wojska papieskiego. Armaty Św. Anioła mogły zburzyć Watykan...

Znalazł się w Św. Kolegium tylko jeden odważny książę Kościoła, którego kondotyerska pomysłowość niezwykłej kobiety nie przeraziła. Kardynał Julian della Rovere, brat cioteczny Hieronima Riaria, mąż gwałtownego charakteru i mocnej ręki, złamał dumę przedsiębiorczej córki Sforzów. Colonnów i Savellich wezwał na pomoc, konfratorów swoich w Św. Kolegium zmusił rozumnie słowem do oporu. Byłoby przecież niesłychana śmiesznością, gdyby władcy Kościoła ulegli woli kobiety, stał się posłusznym narzędziem w jej słabym ręku. Zgasłby blask powagi papieskiej...

Przeceniła swoje siły Katarzyna. Nawet bezbronny Watykan był mocniejszym od jej pnych. Cały Rzym stanął po jego stronie, albańscy baronowie spieszyli mu na pomoc. Bezczelnych Riariów nie lubił, nie kochał mikt.

Katarzyna opierała się rozkazowi opuszczenia natychmiast twierdzy, targowała się z kardynałami, usiłując wyłudzić z nich dla swoich dzieci choćby korzec dukatów.

Przegrała zbyt śmiałą grę. Niezłomna wola Juliana della Rovere wypędziła ją z Rzymu i posadziła na tronie papieskim kardynała Cybo (Inocentego VIII), wroga Riariów.

IV.

Minęły dwa lata. Dwoje dzieci przybyło w tym czasie Katarzynie, a skarbiec jej męża świecił pustkami.

Cheąc po powrocie z karkołomnej awantury rzymskiej zjednać dla swej rodziny poparcie i zyczliwość mieszkańców Forli i Imoli, nakłoniła hrabiego do rozwiązania worków, napełnionych dukatami zmarłego papieża.

— Buduj kościoły, zakładaj szpitale i ochronki dla ubogich i nie skąp pieniędzy na cele dobroczynne. Znieś na pewien czas podatki, a zbierzesz za tę polityczną szlachetność obfite żniwo — uczyła go.

Gdy minie niebezpieczeństwo, grożące nam z Rzymu, możesz znów gospodarować po swojemu.

Riario budował kościoły, zakładał szpitale i ochronki dla ubogich, zmniejszył podatki, — nie skąpił pieniędzy, ale nietylko na „szlachetną politykę”, lecz także na swoje potrzeby. A jego potrzeby: namiętna gra w karty, w kości, huczne biesiady w wesołej kompanii młodych hulaków, romanse z wszelkiego rodzaju dziewczętami, zdobienie zamku w Forli z przepychem królewskim itp. — pożerały mamonę papieską z apetytem smoka.

W połowie drugiego roku otwierał Riario daremnie swoje skatupy. Nie w nich nie znalazł. Puste były... A zewsząd wyciągały się do niego ręce: dworzan, urzędników, żołnierzy, rzemieślników, wołając: zapłać nam pensje, żołd, zarobki, bo dzieci nasze proszą o chleb...

Gdyby papież-wujaszek jeszcze żył, nie byłoby kłopotu o nowy transport dukatów. Tyle ich płynęło zewsząd do Watykanu, iż starczyły na zachcianki wszystkich nepotów. Ale Sykstus IV powędrował już w inne światy, tam, gdzie można istnieć bez grosiwa...

Więc trzeba było wrócić do zwykłej metody gospodarczej kondotyerów renesansowych, do: obarczania zamożniejszych obywateli różnego gatunku kontrybucjami i wyciskania z ubogich ostatniego grosza.

Eksperyment „polityczny” nie udało się Katarzynie. Maską „szlachetnego dobrodzieja” spada i ukazało się znów bezlitosne oblicze nienasyconego niczem, brutalnego tyrana.

Trzynastego kwietnia 1486 r. w godzinach porannych stawili się w zamku Forli, w pracowni Riaria, dwaj oficerowie najemni. Jakób Ronchi, kapitan konnicy, i Ludwik Pansechi, dowódca piechoty — obaj starzy, wytrawni żołnierze, służący pod chorogwią nepota od lat dziesięciu.

— Z czym przychodzicie? — ofuknął ich Riario, domyśliwszy się, po co przyszli.

— Wybączy Magnificencya, że zakładamy Jego spokój — zaczął Ronchi. — Znając trudne położenie, w jakim się obecnie Magnificencya znajduje, nie mamy zamiaru domagać się całego żołdu, należącego się naszym bandom, Ale...

Riario zerwał się z krzesła i krzyknął:

— Pieniądze, ciągle pieniądze! Kto się tylko do mnie zbliży, woła: dawaj, dawaj! Czekajcie, aż mi znów skąd większa gotówka przypłynie.

— Najemny żołnierz nie chce dłużej czekać — odezwał się Pansechi. — Grozi nam opuszczeniem chorągwi. Trzeba mu wypłacić koniecznie choćby połowę zaległego żołdu, jeśli chcemy korzystać z jego dalszej służby.

— Powiesić najzuchwalszych, a reszta straci ochotę do buntu!

— Powiesić? Za co? Czy za to, że żołnierz prosi o swoją słuszną należność? — zauważył Ronchi.

— Kapitan bandy nie wieśza swoich ludzi — wtrącił Pansechi. — W ogień z nimi idzie, a po wojnie jest ich serdecznym ojcem.

— Ojcami naszych żołnierzy jesteśmy a nie ich katami — potwierdził Ronchi.

— I wy się buntujecie, wy, moje sługi? — wrzasnął Riario, poczerwieniawszy, niby rozjuszony indyk. — Jak śmiecie przemawiać tak zuchwale do swojego pana?

I twarze kapitanów załała krew gniewem. Sługami Riarii nie byli. Nie jemu służyli, lecz Marsowi. Za żołd wypożyczyli swoje bandy różnym awanturnikom, wolni, gdy najemca nie był w możności dotrzymania umowy.

— Zapominacie się, hrabio — odezwał się Pansechi. — Kondotyerowie nie są niczymi pachotkami. Przysługuje im prawo zerwania w każdej chwili zawartej a niedotrzymanej umowy.

— Milczcie! — ryknął Riario. — I wam mogę zamknąć zuchwale gęby na zawsze.

— Ej! Tacyście to mocni? Krzyczeń umiecie, jak chłopski woźnica na muły, ale na wojnie nie widać was nigdy w ogniu — drwił Ronchi. — Bezpieczniej wam pod namiotem za spódnicą małżonki. Wstydzicie się, hrabio łaski wujaszka! Dziesięć lat służyliśmy waszym ambicyom, a wy płacicie nam za żołnierską uczciwość groźbą skrytobójcy. Groźcie, jak głupiec. Znaćcie przecież nasze miecze.

Obaj kapitanowie dotknęli prawą ręką głowie szpad.

Luna gniewu spłynęła z twarzy Riaria. Pobladł, zadrżał. Tchórza obleciał tchórza.

Z pogardą spojrzeli na niego kapitanowie. Splunawszy, opuścili pracownię.

Na dziedzińcu zamku spotkali Checca Orsi'ego, patrycyusza miasta Forli i kapitana grodu.

Witając się z nimi, odezwał się Orsi:

— Gdybym nie wiedział, że zaglądacie do dzbanka umiarkowanie, posadziłbym was o udział w orgii pijackiej. Gorączka bucha płomieniem z waszych facyat.

— Nie wino zabarwiło nasze facyaty, lecz sprawiedliwy gniew starych żołnierzy — mruknął Ronchi.

— Domyślam się, że ten brutal, odgrywający po swojemu rolę pana, obraził waszą cześć — zauważył Orsi. — O co wam poszło?

— Odmówił nam połowy żołdu dla naszych ludzi, niezadowolonych kazał powiesić, a nam, gdyśmy stanęli po stronie głodnego żołnierza, groził zamknięciem gęb na zawsze — skarżył się Pansechi.

Dalszy ciąg nastąpi.

Bocian i Żaby.

(BAJKA).

— Niech już będzie zgoda święta!
 Rzekł Bocian i z żabami wszczął pacta conventa.
 Wkrótce nadeszła urzędowa wieść,
 Że przestaje żaby jeść.
 Gromkie „hurra!” obiegło wszystkie bagna, rowy;
 Zewsząd wnet rozległ się hymn narodowy:
 „Boże, bociana chroń”...
 Żeby przypadkiem nie było obrazy,
 Uchwalono monarsze dziękczynne wyrazy —
 Zaraz też wystać deputacyę doń.
 Skoro zaś jest oczywistem,
 Że odrodzony ma być rządów system,
 Może mieć wartość poznanie szczegółów.
 Nowego zaś ukazu świat znał jeno tułów...
 Zatem, bez długich debatów.
 Na łąd skoczyło grono delegatów.
 Znikli. Czy wrócą aby?...

Czekają żaby.
 Odpowiedź posty
 Wkrótce przyniosły.
 Stary kum-żabor, prezes deputacyi,
 Stadtszy w cieniu
 Na kamieniu.
 Reformę w pięknej oracyi
 Streścił tak:
 — Najwyższy Ptak
 Wszelkie swobody nam daje.
 Będzie szanował zwyczaje.
 Samowładztwa też się zrzeka...
 By zaś dalej nad stawem istniała opieka,
 Gubernatorów dwóch tylko zostawia... —
 Tu westchnął mówca, zerknął na swych towarzyszy
 I zakończył nieco ciszej:
 — Powierza nas opiece czapli i żorawia...

Wyższa matematyka.

Aktualna komedyjka w dwóch aktach
 (urodzenia...).

Rzecz w pokoju dziecięcym.

8-letni Kocio (wbiega tryumfująco):
 O jej! co ja tu mam! co ja tu mam!

9-letnia Józia (rzuca się na Kocia).
 Pokaż, no, pokaż! O jej, jaki papcio podobny!
 A mamcia... E, wcale nie!

Starsza siostrzyczka. Bo bez kapelusza.
 Wszystkie dorosłe panie bez kapeluszy są niepodobne.

Józia. Proszę Antosi, po co jest taki pas?

Antosia. Głupiaś, to jest paszport.

Kocio. To po co on jest?

Antosia. Żeby wiedzieć, ile kto ma lat.
 Józia. A Antosia ma taką książeczkę?

Antosia. Głupiaś, co ci do tego.

Wchodzi druga starsza siostrzyczka,
 bliźniaczka Karolcia.

Antosia (do Karolci, wołając ją do kącika).
 Patrz, patrz, co ja mam!

Karolcia. Ach jej!... To ile papcio ma? ile?

Antosia. Czekaj... Tu nie pisze.

Karolcia. To policz.

Antosia. Urodził się w 1860-m roku.

Karolcia. No, to ma 56.

Antosia. Ojej! Co ty wygadujesz?
 Aż tyle!

Karolcia. To 46! (liczy). Nie...

Antosia (tajemniczo). Ja już wiem!
 Słyszałam wczoraj, jak się kłócili z mamcią.
 Mamcia powiada, że mężczyźni stają do pięćdziesięciu pięciu, a papcio powiedział, że to bajki,
 więc on ma dopiero 53 skończonych. To mamcia na to powiedziała,
 bój się Boga na wszelki wypadek, to papcio znów odpowiedział,
 że się wypadku nie boi... Więc pewnie ma 53 lata.

Karolcia. Pewnie. A mamcia ile ma?

Antosia. Czekaj, to się policzy. (Po

dziesięciu minutach pracy). Już mam.
 1916 mniej 1877 jest 39...

Karolcia. Ojej, to papcio jest starszy od mamci o ile? 53 mniej 39... (Po pięciu minutach).
 O czternaście lat! Ojej... Czy to możebne?

Antosia. A dobrze liczyłaś?

Karolcia. Przelicz.

Antosia (po nowych 5 minutach). Dobrze. O czternaście. (Nagle z powagą).
 No, bo ma się rozumieć. My mamy po 14 lat, więc akurat...

Karolcia. Ty wiesz napewno, że mamy po 14?

Antosia. Tak wypada. No, dodaj: mamcia ma 39, ty i ja po 14, więc 39+14 jest ile?

Karolcia. Akurat tyle, ile ma papcio!

Antosia. A widzisz.

9-letnia Józia (wpada między siostry).
 A ja wiem, ile ma braciszek Tadeuszka!

dzio, aha! Bo ja słyszałam, jak wczoraj powiedział do Kocia: ty bąku, smarkaczu, to ja jestem trzy razy starszy od ciebie, bo ja mam dwadzieścia cztery, a ty... To ja nie dosłyszałam, ile ma Kocio, ale braciszek Tadeuszka ma dwadzieścia cztery, to ja dobrze policzyłam!

Antosia (wciąż z ołówkiem). No, ma się rozumieć. Mamcia ma trzydzieści dziewięć, ja i Karolcia mamy po czternaście, to 39 mniej 14 czyni 25.

Karolcia. To nie dwadzieścia cztery.

Antosia. No, tak! On ma dwudziesty piąty, ale naprawdę to on ma dopiero dwadzieścia cztery skończone, tylko że mamcia powiada, że ten drab Tadeuszka jest niemądry i zaraz mówi piąty, jak tylko te cztery skończył. Mamcia się wczoraj bardzo o to gniewała, jak się kłócili z papciem... sama słyszałam!

Mamcia (wpada do pokoju przerażona).
 Ach, dzieci, coście mi narobiły strachu — — — Już myślałam, że mi...

Antosia. Nie, jest, mamciu. I jeden i drugi jest. I wszystko, wie mamcia, doskonale się zgadza...

Tadeuszka (wchodząc). Co się zgadza? Ile wypadło? 1916? U nas na seansie także! Stanowczo wojna się skończy w tym roku!

Mamcia (do papcia, który wszedł za nią).
 Słuchaj, ale jakby się wojna skończyła w tym roku, to to, co tu napisane, będzie ważne?

Papcio. Dla nas tak, bo nam moskale metryki spalili.

Mamcia. Spalili? Nic mi o tem nie mówileś!...

Papcio (w kwadrans potem, wchodząc do pokoju żony).
 Co tam takiego?

Mamcia. Nic... Patrzę tylko, że się tak fatalnie omyliłam, podając... Wyobraź sobie, zamiast urodzona w 1878-m, powiedziałam w 77-m!... Ale kiedy to tak trudno obliczyć na pamięć...

Papcio. Żebyś była wzięła z sobą do biura Tadeusza, byłby ci pomógł!

B. Gorcezyński.



B A K.

22

Bak wstał i poszedł z wolna na drugi koniec tarasu. Był zgoła nieprzygotowany na podobną scenę i nie wiedział, co odpowiedzieć Zicie. Tak; Gemma miała słuszość; szkaradnie zaplątał sobie życie.

— Usiądź. i porozmawiajmy spokojnie — rzekł, wracając po chwili — Widzę, żeśmy się wzajemnie zrozumieli; oczywiście, nie byłbym żartował, gdybym wiedział, że bierzesz to poważnie. Powiedz mi wyraźnie, o co ci chodzi, a może dojdziemy jakos do porozumienia, gdy się sprawa wyjaśni.

— Tu niema się co wyjaśniać. Dbasz o mnie, jak o złamany szeląg i tyle.

— Moje drogie dziecko; bądźmy szczerzy. Starałem się postępować zawsze uczciwie z tobą, i sądzę, że nigdy nie wprowadzałem cię w błąd co do —

— O! nie; byłeś aż nadto szczerzy. Dawałeś mi zawsze wyraźnie do poznania, że nie uważasz mnie za nic lepszego od prostytutki, od cacka z drugiej ręki, którem się już inni bawili —

— Przestań. Zito! Nigdy w ten sposób nie myślałem o żadnej żywej istocie.

— Nie kochałeś mnie nigdy — rzekła posępnie.

— Tak; nie kochałem cię. Posłuchaj mnie, i nie myśl źle o mnie, jeżeli możesz.

— Kto powiada, że ja źle myślę o tobie? Ja —

— Poczekać chwilkę. Oto co chcę powiedzieć: Nie wierzę w żadne konwencyonalne prawa moralności, ani ich nie szanuję. Dla mnie stosunek pomiędzy kobietą a mężczyzną jest prosto kwestyą wzajemnej sympatii lub antypatii —

— I pieniędzy! — przerwała, zaśmiałszy się sucho. Bak ściągnął brwi, jak urażony w bólczkę, i zawahał się.

— Tak; to brzydka strona tej matery. Ale, wierzaj mi, gdybym przypuszczał, że mnie nie lubisz, lub masz wstręt do tak postawionego stosunku, nigdybym ci go nie proponował, ani nie skorzystał z twojego położenia, by cię do tego nakłaniać! Nigdy w życiu nie postąpiłem w ten sposób z kobietą; i nigdy w życiu nie skłamałem kobiecie co do moich względem niej uczuć. Możesz mi wierzyć, że mówię szczerą prawdę. — Umilkł na chwilę; ale Zita nie odpowiedziała.

— Sądziłem — ciągnął dalej, — że jeżeli mężczyzna jest sam na świecie i czuje potrzebę... obecności kobiety przy sobie, i znajdzie taką,

która go pociąga, a której on wstrętnym nie jest, to ma prawo przyjąć wdzięcznie i życzliwie tę sumę rozkoszy, jaką mu ta kobieta chce dać, nie wchodząc w żaden ścisły związek. Nie widziałem w tem nic złego, byle tylko nie było złej wiary ani nieuczciwości z żadnej strony. Co się tyczy tego, że podobne stosunki łączyły cię z innymi mężczyznami, nim myśmy się poznali, to mi było obojętnem. Myślałem prosto, że nam będzie dobrze i miło ze sobą, i że każde z nas może zerwać ten stosunek, gdy mu się naprzykrzy. Jeślim się omylił, jeżeli ty zapatrywałaś się na to inaczej, to —

Umilkł znowu.

— To? — szepnęła, nie patrząc na niego.

— To, wyrządziłem ci krzywdę i szczerze tego żałuję. Ale uczyniłem to bezwiednie.

— „Uczyniłeś to bezwiednie“, nie sądziłeś! Felice! czy ty jesteś z żelaza? Czyś ty nigdy w życiu sam nie kochał, że nie widzisz, iż ja ciebie kocham.

Bak wstrząsnął się. Tak dawno już nikt mu nie powiedział: „Kocham cię“!

W tejże chwili Zita zerwała się i zarzuciła mu ręce na szyję:

— Felice! Jedźmy stąd! Jedźmy z tego straszego kraju i od tych ludzi, którzy tylko o polityce myślą. Co nam do nich? Jedźmy do Południowej Ameryki; tam będziemy szczęśliwi!

To straszliwe przypomnienie oprzytomniło go. Łagodnie uwolnił się z jej objęć i obie jej ręce w dłoń przytrzymał.

— Zito! Staraj się zrozumieć, co powiem. Nie kocham cię, a gdybym nawet cię kochał, to bym nie wyjechał. We Włoszech mam dużo do roboty, mam towarzyszy —

— I kogoś, kto ci jest droższym, niż ja! — zawołała gwałtownie. — Oeh! zabiłabym cię w tej chwili. Nie! nie towarzysze cię tu zatrzymują... to ktoś inny... Wiem, kto taki!

— Dostyc! — rzekł spokojnie. — Jesteś zdenerwowana i wyobrażasz sobie nieistniejące rzeczy.

— Sądzisz, że mam na myśli Signorę Bollę? O! nie! nie tak łatwo mnie omamić. Nie jestem taka głupia, jak ci się zdaje. Ty z nią tylko o polityce rozmawiasz; i nie dbasz o nią więcej, niż o mnie. Nie! To ten kardynał!

Bak drgnął, jak trafiony grotem. — Kardynał? — powtórzył machinalnie.

— Kardynał Montanelli, który tu przyjechał z kazaniem zeszłej ie-

sieni. Myślisz, że nie widziałam, jak wyglądałeś, kiedy tędy przejeżdżał? Byłeś biały, jak płótno. Co tu mówić! Toż i teraz drzysz, jak liść, dlatego, że wspomniałam jego nazwisko.

Bak powstał.

— Nie wiesz sama, co mówisz — rzekł bardzo wolno i cicho. — Ja niewidzę kardynała! To mój największy wróg.

— Wróg czy nie wróg, kochasz go bardziej, niż kogokolwiek. Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że to nieprawda, jeżeliś zdolasz.

Bak odwrócił się i patrzył w ogród. Zita spoglądała na niego ukradkiem, nawpół wystraszona tem, co uczyniła. Było coś przerażającego w jego milczeniu. Wreszcie przysunęła się do niego, jak zalęknione dziecko, i nieśmiało pociągnęła go za rękaw. Odwrócił się.

— To prawda — rzekł.

ROZDZIAŁ XI.

— Ale, czy nie mógłbym s...s.potkać się z nim gdzie w górach? Brisighella to niebezpieczne dla mnie miejsce.

— Każda piędź ziemi w Romanii jest dla ciebie niebezpieczną. Ale w danej chwili Brisighella pewniejszą będzie, niż jakakolwiek inna miejscowość.

— Dlaczego?

— Zaraz ci powiem. Niech ten człowiek w niebieskiej bluzie nie widzi twojej twarzy. To szpieg. Tak... mieliśmy straszną burzę, całe winobranie przepadło.

Bak rozpostarł ręce na stole i położył na nich twarz, jak człowiek znużony snem lub winem, a nowo przybyły w niebieskiej bluzie, rozejrzawszy się szybko dokoła, zobaczył tylko dwóch fermerów gawędzących o gospodarstwie przy butelce wina i drzemiącego górala z głową na stole. Był to zwykły widok w takich podrzędnych winiarniach i właściciel niebieskiej bluzy wymarkował śnać, że nie nie zyska na podsłuchiwanie, bo wypił duszkiew podane mu wino i wyszedł do pierwszej izby. Tam stanął oparty o szynkwias, gawędząc niedbale z gospodarzem i raz po raz spoglądając z pod oka przez otwarte drzwi, za którymi trzej przyjaciele siedzieli przy stole. Dwaj fermerzy popijali wino i w dalszym ciągu rozmawiali o pogodzie w miejscowym dyalekcie, a Bak chrapał, jak człowiek mający czyste sumienie.

Wreszcie szpieg, widząc, że szkoda czasu na dalsze pozostawanie w winiarni, zapłacił należność i wyszedł z wolna na wąską uliczkę. Bak ziewnął, przeciągnął się i sennym ruchem przetarł oczy rękawem płóciennej bluzy.

— Ostro idzie — rzekł, wydstając z kieszeni składany nóż i krążąc sobie kromkę chleba z leżącego na stole bochenka. — Bardzo się wam

naprzykrzali w ostatnich czasach. Michele?

— Gorszi są teraz, niż moskity w sierpniu. Człowiek chwili spokoju mieć nie może; wszędzie się jakiś szpieg kręci. Nawet w górach, gdzie dawniej bał się zapędzać, spotyka się ich całe gromady... nieprawdaż Gino? Dlatego ułożyliśmy, żebyś się zeszedł z Domenichinem w mieście.

— Dobrze; ale czemu w Brisighelli? Miasto pograniczne jest zawsze pełne szpiegów.

— Brisighella jest teraz doskonałym punktem. Roi się tam od pielgrzymów ze wszystkich stron świata.

— Przecież to miłościną na ubo-
czu.

— No; do Rzymu nie tak bardzo z drogi; i wielu pielgrzymów ze Wschodu zbacza tam z umysłu na nabożeństwo.

— Nie wiedziałem, że Brisighella posiada j...i...akąś o...so...o...bliwość.

— Posiada kardynała. Pamiętasz, jak kazał we Florencji zeszedł jesienią? To ten sam kardynał Montanelli. Mówią, że to znakomity kaznodzieja.

— Być może; nie bywam na kazaniach.

— Przytem uchodzi za świętego.

— Z jakiej racji?

— Nie wiem. Prawdopodobnie dlatego, że wszystkie swoje dochody oddaje biednym, a sam żyje, jak wiejski proboszcz ubogiej parafii.

— Ach! — przerwał drugi, nazywany Ginem — to nietylko to. On się całkowicie biednym poświęcił; dogląda chorych; od rana do nocy przestaje z ludem; radzi, pociesza, wspomaga. Ja tam nie przepadam za księżmi, ale Monsignor Montanelli, to wyjątek.

— To też ludzie przepadają za nim, a pielgrzymi tłoczą się, żeby uzyskać jego błogosławieństwo. Domenichino chce pójść jako wędrowny kramarz, z koszykiem tanich krzyżyków i różańców. Ludzie chętnie kupują takie rzeczy i proszą kardynała, żeby się ich dotknął, a potem zawieszają dzieciom na szyi, jako ochronę przed złem.

— Poczekał-no. Więc jakże ja tam mam iść? Jako pielgrzym? To przebranie, które teraz mam, jest doskonałe, ale nie mogę się w niem pokazać w Brisighelli. Byłby to dowód przeciwko wam, gdyby mnie złapali.

— Nie zląpią cię. Mamy dla ciebie wspaniałe przebranie, pasport i wszystko, co potrzeba.

— Jakim sposobem?

— Od starego hiszpańskiego pielgrzyma, nawróconego rozbójnika z gór. Zachorował zeszłego roku w Ankonie, i jeden z naszych przyjaciół wziął go z litości na pokład handlowego statku i zawiózł do Wenecji, gdzie ten miał przyjaciół, a on przez wdzięczność zostawił nam swoje papiery. Teraz się przydadzą dla ciebie.

— N...na...nawrócony rozbójnik? A jakże będzie z policją?

— O! wszystko w porządku! Skończył odsiadywać karę przed kilku laty i od tego czasu obchodzi wszystkie święte miejsca, od Jerozolimy począwszy, dla zbawienia duszy. Podobno przez pomyłkę zamordował własnego syna i sam oddał się w ręce sprawiedliwości.

— To był stary człowiek?

— Tak; ale siwa peruka i broda poradzą na to; a pozatem rysopis doskonale odpowiada tobie. Był dawniej żołnierzem, i na wojnie otrzymał cięcie pałaszem przez twarz i postrzał w nogę, na skutek czego kulą. Przytem to był hiszpan; więc gdybyś spotkał hiszpańskich pielgrzymów, mógłbyś z nim rozmawiać.

— Gdzie się mam spotkać z Domenichinem?

— Przyłączysz się do pielgrzymów w miejscu, które ci pokażemy na mapie, i powiesz, żeś zablądził w górach. Potem, gdy już będziecie w mieście, pójdziesz z nim; na rynek, naprost kardynalskiego pałacu.

— O... więc ten święty mieszka w pałacu?

— Tylko w jednym skrzydle, a cały gmach zamienił na szpital. Będziesz tam czekał, aż wyjdzie udzielić błogosławieństwa; a wtedy Domenichino zbliży się z koszem do ciebie i powie: „Czy jesteście pielgrzymem, ojcze?” na co mu odpowiesz: „Jestem nędznym grzesznikiem”. Potem on postawi kosz na ziemi i obetrze sobie twarz rękawem, a ty mu ofiarujesz sześć sol-dów za różaniec.

— I wtedy powie mi, gdzie się mamy spotkać dla ogadania sprawy?

— Tak; będzie miał dosyć czasu dać ci adres, podczas, gdy ludzie będą się gapili na Montanelli'ego. To był nasz plan; ale jeżeli ci się nie podoba, damy znać Domenichiniemu i obmyślimy co innego.

— Nie; niech tak będzie; tylko postarajcie się o jaknajlepszą perukę i brodę, bo to zdradliwe rzeczy.

* * *

— Czy jesteście pielgrzymem, ojcze?

Bak, siedzący na stopniach biskupiego pałacu, spojrzął z pod siwych, splątanych kudłów i drżącym, ochryplym głosem wyrzekł umówioną odpowiedź. Domenichino zsunął rzemienny pas z pleców i postawił kosz wyładowany pobożnym towarem na schodach. Tym wieśniaków, pielgrzymów, zapelniający schody i rynek, nie zwracał na nich uwagi, ale przez ostrożność rozmawiał o potocznych rzeczach; Domenichino w miejscowym dyalekcie, a Bak łamaną włoszczyzną, przeplatana hiszpańskimi wyrazami.

— Jego Eminencya! Jego Eminencya idzie! — krzyknęli ludzie sto-

jący najbliżej drzwi.— Rozstapcie się! Jego Eminencya idzie!

Bak i jego towarzysz wstali.

— Macie, ojcze — rzekł Domenichino, wskazując w rękę Baka mały obrazek, owinięty w kawałek papieru — weźcie to także, i pomódlcie się za mnie, gdy będziecie w Rzymie.

Bak wsunął pakiecik w zanadrze i obrócił się, aby spojrzeć na postać w fioletowej szacie i szkarłatnej piusce, stojącą na najwyższym stopniu i błogosławiącą lud wyciągniętymi rękoma.

Dalszy ciąg nastąpi.



Dorian Gray.

(Przed premierą w Teatrze Polskim).

Najciekawszym i najoryginalniejszym pisarzem angielskim końca dziewiętnastego wieku jest niezaprzeczenie Oskar Wilde.

Poeta, marzyciel, wizjoner, myśliciel, twórca i krytyk; indywidualność wybitna, bogata a tak przedziwnie zwarta w sobie. Umysł potężny, wydobywający li tylko ze siebie cenne skarby myśli, którymi obrzucił zdumioną i nieprzygotowaną Anglię. Talent niepowszedni, druzgoczący i budujący, pobudzający do twórczości i nadający nowe kierunki całemu piśmiennictwu.

Impresjonizm i neoromantyzm, na który we Francji i Niemczech złożyły się zastępy doskonałych poetów, krytyków, dramaturgów i powieściopisarzy—w Anglii reprezentuje jeden Oskar Wilde. Skoncentrował w sobie *l'esprit de son âge*, aby następnie poznać *de son âge tout le malheur*.

Przeogromna skala twórczości Wilde'a stanowi jego największy urok.

Liryczne, pełne wdzięku, poezyj i prostoty opowiadania; wstrząsające siłą ekspresji dramaty; głęboko przemysłane dyalogi o sztuce; finezyjne, subtelne komedye; tryskające humorem i ironią nowele; szkice powieściowe, na które złożył się najdalej posunięty epikureizm, przefiltrowany przez intelekt; przepiękne poematy; wreszcie „De profundis”, najgłębsza spowiedź serdeczna — tem wszystkim i przez to wszystko przemawia różnorodna a w swej różnorodności jednolita dusza Oskara Wilde'a.

Nie mu nie było obcem. W każdej formie literackiej wypowiadał się całkowicie jego bujny talent.

I nietylko talent, ale życie. Wewnętrzna treść przeżycia nadała jeszcze większe i istotniejsze znaczenie twórczości Wilde'a. Człowiek i dzieło zespoleni, sprężnięci, zjednoczeni dopełniają się. Niema tak podniosłych wzruszeń, którychby nie zaznał Wilde, i niema tak głębokich i silnych tragedii, przez któreby on nie przeszedł. Poznał najistotniejszy dramat, dramat *przeżycia siebie samego*. I temu też zawdzięczamy najbezpośredniejszą spowiedź, jaką dała literatura: „De profundis”, utwór pisany serdeczną krwią.

Z tego dziwnego powikłania życia Wilde'a z jego twórczością wynika spe-

cyalny gatunek zainteresowania, jakie budzi poeta-człowiek. Jest on najbardziej skrytalizowany i zwarty w przepięknej i nad wyraz ciekawej powieści „Portrety Doriana Gray”.

Tutaj wystąpiły wszystkie walory estetyczne w całej pełni.

Tutaj rozwinął Wilde ideały helleńskiego życia.

Tutaj ziszczyła się czarodziejska miłość.

Tutaj przesunął się występki i zbrodnia.

Tutaj wreszcie przemówiło sumienie. Szereg typów, które dał w powieści tej Oskar Wilde, jest usymbolizowaniem szeregu przemian duchowych, zachodzących w nim samym. Oszałamiające paradoksy, którymi obrzuca, są jego najistotniejszą prawdą.

Tragiczny koniec, jaki zgotował swojemu bohaterowi, jest jakdyżby proroczą wizją nieszczęścia, które na niego samego spaść miało znacznie później.

W powieści tej wypowiedział się Wilde najpełniej. Dał w niej wszystko, co chciał; dał swoje credo estetyczne, niezmiernie ciekawie pomyślane zestawienie rzeczywistości z fantazją. I dał jeszcze więcej, bo siebie samego. Książka, którą tworzył, w miarę przenoszenia punktu ciężkości na wewnątrz, przestaje być narzędziem w jego ręce. Przemawia poprzez niego, wyzwała się i narzuca jemu samemu.

Pierwsze słowa powieści o Dorianie Gray są wyznaniem estetycznym: — Artysta jest twórcą rzeczy pięknych — a dalej — Wszelka sztuka jest bezpożyteczna — i jeszcze dalej — Grzech i cnota są materialem dla artysty — i jeszcze — Niema moralnych i amoralnych książek. Książki są złe lub dobrze napisane. Oto wszystko —

Na tych zasadach mniej-więcej oparta jest powieść Wilde'a, która wbrew przewidywaniom autora stała się nie tylko źródłem estetycznego zadowolenia, ale też moralną i utylitarną w najszerszym pojęciu.

Ludzie występujący są i typami jednocześnie symbolami.

Basil Hallward, wielce utalentowany malarz, artysta, prosty, szczerzy i uczciwy, człowiek jednolity i całkowicie sztuce oddany, jest zarazem jej symbolem.

Lord Henry Wotton, żonglujący paradoksami, światowiec, człowiek, który posiadał wszelkie zdobycze kultury i przeszedł poprzez wszelkie emocje i wzruszenia intelektualne, jest tegoż intelektu usymbolizowaniem.

Dorian Gray, bohater powieści, jest uosobieniem życia.

Na początku powieści staje Dorian Gray wobec Hallwarda i lorda Henry. Dla obu staje się modelem. Malarz widzi w nim najpiękniejsze dzieło sztuki, lord Henry cudowną i cudotwórczą młodość: „Młodości! Młodości! Niema na świecie nic ponad młodość! Żyj! żyj wspaniałem życiem, które jest w tobie. Nie trać niczego. Trwaj w pogoni za coraz nowymi wrażeniami. Nie lękaj się niczego... Nowy Hedonizm — oto czego pragnie nasze stulecie. Możesz stać się jego widocznym symbolem”.

I lord Henry modeluje duszę Doriana na podobieństwo swojej.

Ale Dorian Gray idzie jeszcze dalej — staje się wyrazem duszy tej. Wszystko, co było myślą lorda Henry, u Doriana jest czynem i życiem. Dorian Gray jest tym szczęśliwym; pięknym

wiecznie młodym wybrańcem losu, któremu danem jest żyć pełnią życia. Nic mu nie jest obcem. Nic, co idzie z tego dynamicznego, przemożnego życia, nie oprze się jego młodości, ciekawości i temperamentowi. Piękno i szpetota, cnota i występki są jego udziałem. I Dorian Gray poznaje bezmiar rozkoszy, miłości szczęścia: ów prawdziwy *prince charmant* jest rzeczywiście królem życia, albowiem bierze od niego wszystko, nie dając wzajemnie.

Jednym z piękniejszych epizodów historii tej jest miłość Sybilli Vane. Tutaj okazał się Oskar Wilde subtelnym znawcą duszy kobiecej. Idylla przechodząca w tragedję rozsnuwa się z niezwykłą prostotą. W jakimś czwartorzędnym teatryku uirzał po raz pierwszy Dorian Sybillę występującą na scenie. Znalazł się tam wytworny młodzieniec najpełniej przypadkowo. Ale uroczą artystką, obdarzoną niezwykłym talentem, której gra kontrastuje z niekulturalną i marną grą reszty aktorów, zainteresowała i zachwyciła Doriana. Co wieczór przychodzi do owej marnej budy i ulega czarowi Sybilli, która jest dlań uosobieniem snu miłosnego. Dziś jako Imogena, nazajutrz Rosalinda, kiedyindziej Julia przemawia Sybilla do Doriana, którego dotąd nie zna. Lecz z chwilą, gdy go poznaje, a następnie i kocha, przestaje dobrze i pięknie grać na scenie, która dotąd była jej *rzeczywistym życiem*, czuje się źle i nie ze siebie wydobyc nie jest w stanie. „Dorianie, Dorianie, zanim poznałam ciebie, gra była jedyną prawdą mojego życia. Wierzyłam w teatr. Jednego wieczoru byłam Rosalindą, innego Porzią. Radość Beatrycy była moją radością. Zmartwienia Cordelii były też moim udziałem. Ordynarni ludzie, którzy ze mną grali, byli na podobieństwo bogów. Malowane dekoracje stanowiły mój świat. I zjawileś się, o moja cudna miłości! — i oswodziłeś duszę mą z więzienia. Nauczyłeś mnie miłować rzeczywistość. Dziś po raz pierwszy zauważyłam, że Romeo był stary i ohydny. Teraz niemożliwością i profanacją dla mnie byłoby *grać* miłość”.

Wyznania miłosne Sybilli wibruje najszlachetniejszymi, szczerymi i serdecznymi uczuciami. Wzgardził nimi Dorian, wzgardził ich prawdą, więc nie mogąc żyć dla miłości, płaci za nią Sybilla śmiercią.

A Dorian Gray idzie i nadal, jako wiecznie młody i zwycięski król-wiecz, idzie, aby poznawać wszystko i wszystkiego doświadczyć. Schodzi aż na dno życia, tam gdzie rozpusta, występki i zbrodnia rej wiodą. Nie zawahał się przed niemem! Ale nie można gwałcić starych praw rządzących światem, nie można bezkarnie tarzać się w mętach. Każdy miesiąc jest obosieczny i krzywdy mszczy się na własnej duszy. Przed Dorianem Gray o wiecznie młodej i pięknej twarzy staje jego wewnętrzny portret, zniszczona i zohydzona dusza. Takiego widoku, spojrzenia w sumienie własne, nie może przeżyć nawet i król życia...

Tragicznym jest koniec Doriana Gray.

H. Jelenkiewicz.



Z literatury.

Z badań nad Mickiewiczem i utworami jego.

Prof. Teodor Wierzbowski wydał z zapomogi „Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym im. dr. Józefa Mianowskiego” w książce drobne drukowane już przyczynki do życia i twórczości Adama Mickiewicza. W książce tej znajdujemy: Genealogię Mickiewicza, O rodzinie Majewskich, Mickiewicz w Wilnie, O „pieśni Filaretów”, Uniwersytecki dyplom poety, Iris, Przed wyjazdem za granicę, „A imię jego czterdzieści cztery”, z historii utworów poety oraz nieznaną krytykę „Grażyny” i „Konrada Wallenroda”. Wszystkie te prace prof. Wierzbowskiego są dla historyków literatury interesujące. Inna rzecz, że nie wyjaśniają prometeizmu twórczości naszego wieszca. Ale jako badania archiwalne zasługują na uznanie. Polemiczny szkic „A imię jego czterdzieści cztery” zawiera zgrupowany materiał różnych interpretacji tego okrzyku. Wydaje się, że prof. Wierzbowski możliwie najtrafniej sprawę rozwiązuje, choć z drugiej strony, jest to już dziś obojętne. Twórczość Mickiewicza ciąży nad narodem polskim, jak ewangelia. Stała się legendą i tworzy o sobie czarodziejską legendę, budzącą w narodzie dumę, hart i moc do wytrwania.

Sto lat walki o oświatę polską.

Znany statystyk i publicysta, p. Włodzimierz Wakar, wydał broszurę p. t. „Sto lat walki o oświatę polską”. Rozpoczynając dziejami przedrozbiorowemi szkolnictwa polskiego, następnie omawia oświatę w trzech porzbiorowych dzielnicach, szczegółowo analizując stan szkolnictwa w autonomicznej Galicji oraz ruch szkolny w Królestwie. I kończy p. Wakar swoją broszurę oświadczeniem: „Dziś w stolicy Polski powstały wyższe polskie uczelnie. Co bądź przyszłości nieśmiej, otwierają się przed nami nowe okresy dziejów oświatowych. Na przełomie sukces każdy, każda praca i placówka wyzyskana zaważą w nich wiele dla Polski całej. Z ten przeświadczeniem pracujemy i w ciżbę niemyj znicz wiedzy polskiej”.

Wieżą wiosenne wiatry.

Józef Relidziński wydał zbiór miłych, żołnierskich liryków p. t. „Wieżą wiosenne wiatry”. Kazimierz Tetmajer poprzedził te wiersze wstępem. Mówi on: „Relidziński nie urodził się poetą w czas wojny: nie z huku armat i trzasku karabinów poczyna się jego pisarstwo. Liczył on się do najmłodszych poetów warszawskich lat kilka wprzód, górując nad innymi liryzmem”. Kończy zaś Tetmajer swoją przedmowę zdaniem: „Relidzińskiego poezja jest poważna—obejmuje ona myślowo zasadnicze tematy; refleksja jego jest głęboka, a jego wzrok jest własny — wśród tych poważnych wierszy, wśród tego, co powstało z rozumnej zadumy, jak kwiaty w lesie, świeci to, co powstało z młodego polskiego sentymentu”.

